

# Dzikość

Wędrowki po peryferiach świata

**Katarzyna Nizinkiewicz**

Kontynenty  
Zielonka 2025



**Koncepcja, redakcja, korekta:**  
Redakcja-Kreacja

**Zdjęcia na okładce i wewnątrz:**  
Katarzyna Nizinkiewicz

**Skład:**  
Marta Jedlinska  
marta.jedlinska@szafrandesign.com  
+48 695 850 130

**Wydawca:**  
Oficyna Wydawnicza Kontynenty  
ul. Klonowa 13  
05-220 Zielonka  
redakcja@magazynkontynenty.pl

**Copyright © by „Kontynenty” 2025**  
**Copyright © by Katarzyna Nizinkiewicz**

**WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE**

Wydanie II  
Zielonka 2025

**ISBN: 978-83-972159-55**

**Druk:**  
Partner Poligrafia Andrzej Kardasz  
ul. Hurtowa 19  
15-399 Białystok







# Bezkręś

## Finnmark

**„We are Sami” – krzyczały napisy z kolorowych plakatów porozlepianych w niemal białym mieście. „Jesteśmy sami” – czytałam je odruchowo, bardzo zmęczona.**

*Sami...* Nikt nie zna pochodzenia tego słowa. Rdzenni mieszkańcy Laponii nazywają się tak, odrzucając obelżywe ich zdaniem *Lapps* – kojarzące się z biedą i zacofaniem (*lapp* to połatany). Od kilkudziesięciu lat konsekwentnie odbudowują swoją kulturę i narodowość. Są dumni. Przez stulecia wędrowali po dalekiej północy ze stadami reniferów, nie uznając dzielących Laponię granic. Teraz znormalnieli. Osiedli. W Norwegii zdobyli sporą autonomię. Stworzyli uniwersytet (w Kautokeino) i parlament (w Karasjok). Kultuwują tradycje, dbają o język. Kiedy dotarliśmy do Kautokeino, odbywała się tam międzynarodowa konferencja ludów pierwotnych. Stąd te plakaty. „Jesteśmy sami” – czytałam, wlokąc pulkę po pustych zmrożonych ulicach. Dla mnie to słowo miało sens. Sami na tym bezkręsnym odludziu.

Sami wobec natury, zimy, mrozu. Otwartej, wietrznej przestrzeni. Sami wobec kultury Zachodu.

Miasto leży na środku ogromnego pustkowia. Z wyglądu przypomina sporą wieś. Garść drewnianych domków, stacja benzynowa, kościół, supermarket i hotel. Z map wiem, że troszkę dalej na zachód są kopalnie. Minęliśmy prowadzącą do nich linię energetyczną, jak wszystko tutaj inną niż u nas – wspartą na drewnianych słupach. Zanim dotarliśmy do centrum, długo kluczyliśmy po białych ulicach wśród zagraconych podwórek pełnych zasypanych po dach samochodów i bardziej tu od nich praktycznych śnieżnych skuterów. Przy kilku domach suszyło się mięso wywieszane równo w metalowych kłatkach. Całe, obdarte ze skóry, renifery. Dalej trafiliśmy na zagrodę ze zwierzętami. Obok mężczyzna na kolanach, wprost na śniegu oprawiał dwie sztuki. Za tydzień święta...

Miałam ochotę podejść i to sfotografować, ale śpieszyliśmy się. Był wieczór, a trzeba było zrobić zakupy, załatwić nocleg. Zalodzone uliczki przeszły w odarty z bieli asfalt – brzydki i szorstki, musieliśmy więc zdjąć narty. Potem szło nam coraz trudniej. Minęło nas kilka samochodów, prowadzące je panie wyglądały egzotycznie. Nosiły kolorowe chusty, wielkie srebrne medaliony, mignął mi też ozdobny czerwony czepek. Nikt nawet nie zwolnił, chociaż chcieliśmy tylko spytać o drogę. „Jesteśmy sami” – pomyślałam przez chwilę, ale zaraz zatrzymał się samochód. Starszy, astmatyczny pan powiedział, że nam pomoże. Że znajdzie nocleg.

Wszystko było zajęte, bo konferencja, ale udało się. Właściciel motelu, Sami (wiem to od ubranych po swemu Indian – uczestników konferencji), radził nam bez przekonania, zajęty czymś innym: – Idźcie do Karasjok, najlepiej rzeką, tam się nie da pogubić.

Spędziliśmy w Kautokeino kilka godzin, poszukując informacji i map. Nie tak to sobie wyobrażałam. Myślałam, że będzie tu trochę turystów, że będzie nam ze wszystkim łatwiej, ale było inaczej, ciekawiej. Mapy, które znaleźliśmy w sklepiku pokazywały tylko goły teren, bez szlaków, bez schronów.

– My tu nie potrzebujemy map – mówili pytani o nie ludzie.

– Gdzie pójść dalej? – wyciągaliśmy z nich. – Gdzie jest najpiękniej?

– Gdziekolwiek, to Finnmarksvidda – odpowiedzieli.

– Tu wszędzie jest bardzo pięknie.

Nie rozumiałam tego jeszcze. Żeby polubić płaskowyz, trzeba mu poświęcić czas. Na pierwszy rzut oka, na szybko, wydawał się wszędzie jednakowy, monotony, lodowaty i groźny. „Jest bezkręśny. Nie da się z niego uciec. Każdy jest na nim całkiem sam, bezbrony wobec przyrody” – myślałam, bojąc się dalszej drogi.

W informacji turystycznej piękna, egzotycznie wyglądająca dziewczyna w ludowym stroju spytała, czy idziemy na Nordkapp. Mieliśmy i takie plany, ale gdy wspomniała, że ludzie zwykle tak robią, pomyśleliśmy, że my nie musimy.





– Chcemy zobaczyć Laponię – zdecydowaliśmy.  
– Nic konkretnego.

– Góry czy las? – wtrącił się krępy chłopak, blondyn ze skośnymi azjatyckimi oczami.

– Góry – powiedzieliśmy jednocześnie. Bo las – niskie pokręcone brzoźki, przysypane luźnym śniegiem, przez który bardzo trudno przejść – widzieliśmy już w Finlandii.

– Idźcie nad Čárajávri – poradził bez namysłu. – To piękne, wysokie góry. Potem możecie iść do Masi, tam jest i hotel, i sklep.

– Jak to daleko? – pytaliśmy, przeliczając od razu kilometry na dni.

– Jakieś sto dwadzieścia kilometrów.

– Jest może po drodze jakiś schron?

– Nie... może jeden... – zastanawiał się głośno chłopak.

Niestety, nie udało mu się pokazać na mapie, gdzie.

– Koło jeziora Čárajávri jest kilka pasterskich domków, ten najbliższy wody jest otwarty. Reszta pozamykana, nie powiem wam, gdzie są klucze...

Nie pytaliśmy. Zresztą chłopak już odszedł. Widocznie powiedział, co chciał.

Ludzie, z którymi rozmawialiśmy, z reguły interesowali się nami przez chwilę, a potem milkli, wracali do swoich myśli czy zajęć bez słowa, bez pożegnania. Czasem wciąż stali koło nas, ale byli już zajęci czymś innym. Nieobecni. Tak jakby nie tylko przestrzeń była

tu nieskończona, ale też czas. Nie wiedzieliśmy, jak się zachować. Poczekać? Odejść?

– Patrzą na horyzont – mówił José i było w tym sporo prawdy. Niewiele więcej tu przecież widać. Przynajmniej zimą, kiedy wszystko zasypie śnieg.

Droga nad Čárájávri zajęła nam cztery dni. Temperatura spadła poniżej -20 stopni w dzień (wołam nie wiedzieć, ile było nocą). Wiatr odwrócił się i teraz wiał w twarz. Po łagodnych, niekończących się wzgórzach wędrował zmrożony śnieg. Strumień puchu. Nocami opływał nasz mały namiocik, zawsze znajdując sobie wejście, ale ponieważ był suchy, bez problemu można go było rano wysypać. Tak robiliśmy. Staraliśmy się mieć tego śniegu wewnątrz jak najmniej, zeszkrobywaliśmy narosły nocą szron, trzepaliśmy puchowe śpiwory. Mieliśmy czas. Przede wszystkim musieliśmy pić, a wytopienie wody zajmowało nam całe godziny. Ani razu nie udało nam się uzyskać wrzątku. Garnek stygł szybciej, niż się ogrzewał. Niewiele się działo. Wędrówka na nartach była monotonna, ale widoki piękne.

Nocami codziennie pojawiała się zorza, w dzień często towarzyszyło nam halo. Rósł coraz jaśniejszy księżyc.

Przez wiele kilometrów szedł z nami lis. Wyprzedzał nas, bawił się na śniegu jak kot, stawał ciekawie, czaił się, znikał i wracał. Piękny, porośnięty wspaniałym futrem i w tej bezkręśnej bieli rażąco jaskrawoczerwony i żywy. Intrygowaliśmy go, może nigdy nie widział narciarzy, ale ostatecznie uznał nas za nieużytecznych i znikł.



Minęła nas para na skuterze, wieczorem spotkaliśmy ich znów, wracali. Na nasz widok pojazd zatrzymał się i chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Wszyscy czworo byliśmy w maskach i w goglach. Wichura wyła, a śnieżny tuman sięgał nam mniej więcej do pasa.

– Nie wiecie, gdzie by tu przenocować? – próbował wykrzyknąć po angielsku José. – Może jakiś schron albo lepsze miejsce na namiot? Cokolwiek, byle się schować?

– Po drugiej stronie... – powiedziała wolno dziewczyna, zdejmując gogle.

Błękitne oczy i eskimoska skośna powieka. Ładna, bardzo delikatna twarz. Patrzyła na mnie ciepło, życzliwie.

– Po drugiej stronie czego? – spytałam zdezorientowana.

– Po drugiej stronie... – powtórzyła.

– Ale czego? – wtrącił się niecierpliwie José.

– Poczekajcie, on wam pokaże – dodała, widząc, że nic nie rozumiemy.

Chłopak, z wyglądu również Sami, skulił się za swoim skuterem i wyciągnął GPS. Było mi go żal, odsłonił dłonie.

– Za jakieś pięć kilometrów, na końcu jeziora – usłyszeliśmy.

– Widzicie – wskazał ręką pod wiatr.

Nic nie widziałam. Nie odróżniałam, gdzie skała, gdzie woda. Ostatni promień słońca ślizgał się po krawędziach błękitniejących wzgórz. Reszta świata była nieostra, mętna.



– Za pięć kilometrów, po drugiej stronie... – powtórzył.  
Dalej nie rozumieliśmy.

– Wiatr ustanie – powiedziała na pocieszenie dziewczyna, wolno tak jak poprzednio, a ja ucieszyłam się, zanim dotarła do końca zdania – ...ustanie... już za kilka dni...

Kiedy doszliśmy „na drugą stronę”, była już noc. Na stoku stała na wpół zakopana kempingowa przyczepa, nieszczęśliwie zamknięta na klucz. Postawiliśmy namiot tak, że odrobinę osłaniała od wiatru.

Rano wydawało mi się, że widzę komin wystający ze śniegu, kilkaset metrów bliżej szlaku. Możliwe, że był tam torfowy pasterski dom, ale nie udało mi się wypatrzeć wejścia. Wszystko oprócz tej wystającej rury czy kołka było zasypane, zawiane ruchomym śniegiem. Nocą nie mieliśmy szans, żeby to coś odnaleźć. Zbyt silny wiatr, zbyt ciemno.

Dwa dni później byliśmy już bardzo zmęczeni. Wyło tak, że nie mogliśmy prosto iść. Postawienie namiotu wymagało wykopania dziury chroniącej przed wywianiem. Skorzystanie z toalety, zwłaszcza nocą, stawało się wielkim wyzwaniem. Pamiętam, jak pomimo tego, że się starałam schować, zasłonić jak tylko się da, odkryłam kropelki na nogawkach.

– Cholera jasna! – pomyślałam, zniszczyłam moje puchowe spodnie!

Chciałam wytrzeć te krople, zanim wsiąkną, ale kiedy je dotknęłam chusteczką, zsywały się leciutko na ziemię. To był lód. Idealnie okrągłe kulki zastygłe

w locie. Księżycowe światło zostawiło na nich piękny błysk. Kiedy poskarżyłam się rano José, myśląc, że natura jest niesprawiedliwa i mężczyźni mają łatwiej i lepiej, usłyszałam: – Co ty! Ustawiłem się precyzyjnie z wiatrem i po chwili czuję, jak mnie siecze lodem w twarz...

Duży mróz był dla nas bardzo trudny. Nawet zdjęcie na chwilę rękawiczki powodowało ból. Wbiła mi się wtedy w pamięć myśl, że to, co zmarznie, już nigdy nie zostanie rozgrzane. Wszystkie nasze zabiegi były skierowane na to, żeby nie marznąć. Nie odsłaniać się. Przetrwać ten najzimniejszy czas. „Może w końcu trafimy na schron i wszystko nagle zacznie wyglądać lepiej” – pocieszaliśmy się każdego wieczora.

Dochodząc do Čárájávri, zobaczyliśmy skuter i dwie ludzkie sylwetki na lodzie. Daleko, już odjeżdżali, ale kiedy wystartowałam w ich kierunku biegiem, zauważyli mnie, zawrócili i podjechali. Próbowałam dowiedzieć się, gdzie znajdziemy ten obiecany, długo oczekiwany schron, ale okazało się, że to aż osiem kilometrów od brzegu w przeciwnym niż się poruszaliśmy kierunku. Do tego domek jest zimny, nieszczelny i pozbawiony opałowego drewna. Jens, biolog z Alty podarował nam wtedy coś, co nas postawiło na nogi. Podwiózł skuterem do położonej szesnaście kilometrów dalej myśliwskiej chatki, gdzie mogliśmy się rozmrozić i ogrzać. Szybka jazda przez zamglony, pofałdowany krajobraz była fascynująca, chociaż trochę się bałam. Nigdy

wcześniej nie jechałam śnieżnym skuterem i co chwila miałam wrażenie, że spadnę. José i przyjaciel Jens siedzieli na podskakujących zapakowanych skrzyniami saniach, trzymając dodatkowo nasze narty i kije. Pulki ciągnęły się dalej za nimi i nie wiem, jakim cudem nie powywracały się i nie pogubiły. Jens odwracał się do nich co i rusz, ani na moment przy tym nie zwalniając. Widziałam go wtedy z bardzo bliska. Na twarzy miał rząd niebieskich nitek – świeży szew, pozostałość po niedawnej wywrotce.

– Wszystko pod kontrolą – krzyczał przez wiatr, kiedy łąpałam się go nerwowo na wybojach. Był duży i grubo ubrany i trudno mi go było objąć w pasie. Pochodził z Kautokeino, jego mama była Sami, ale wyglądał raczej jak Wiking – po ojcu. Nie spotkaliśmy się już, chociaż mieliśmy taki plan. Za kilka dni zaczynały się święta i kiedy dotarliśmy do Alty (porzucając krótszą drogę do Masi), Jens był już w rodzinnym domu. W Laponii święta wielkanocne zaczynają się w Wielką Środę. W czwartek i piątek wszystko jest pozamykane. To ogromna, barwna i hucznie obchodzona impreza. Święto światła, które wraca po miesiącach ciemności. Schodząc do Alty, widzieliśmy sznur samochodów ciągnących na tę okazję do Kautokeino. Były i wyścigi reniferów, i śpiewy...

Jakaś część mnie miała ochotę zrzucić narty i tam pojechać. Tylko byłoby w tym coś powierzchownego. Za mało jeszcze o tym kraju wiedzieliśmy, za mało

wsiąkliśmy w północ, żeby świętować. Pomyśleliśmy, że to zbyt płytkie. Zbyt łatwe. Paradoksalnie po dwóch tygodniach wędrówki przez płaskowyż czuliśmy się mniej sami na pustkowiu. Przyjechaliśmy tu przecież, żeby iść, przed siebie, bez celu, poddać się drodze, a Kautokeino było w drugą stronę. Nie wróciliśmy.

Pod koniec marca zaczęło się stopniowo ocieplać. Mieliśmy szczęście i trafiliśmy na dobrych ludzi w Alta, potem znów wpadliśmy na kilkoro w przypadku mijanej chatce. Dostaliśmy kawałek tortu i smar do namakających fok. I najważniejsze – mapę z dorysowanymi szlakami. Dzięki niej dwie kolejne (święteczne) noce przespaliśmy luksusowo pod dachem.

– Tylko powieście materace pod sufitem – przypomniał nam właściciel pierwszej chatki, starszy pan. – Mam myszy... i jeszcze koniecznie wpiszcie mi coś do książki.

Wpisaliśmy, José nawet po hiszpańsku. Chatkowe książki leżały we wszystkich, też w prywatnych schronach, rejestrując pełne podziękowań wpisy – listy do gospodarzy.

Finnmark to zupełnie inna Norwegia niż znana nam z poprzednich podróży.

– Tu każda osoba wam pomoże – powiedział chłopak spotkany kilka dni później w kolejnym niezaznaczonym na mapach domku, o którego istnieniu dowiedzieliśmy się od przypadkiem przejeżdżającego mężczyzny o okrągłej twarzy schowanej pod goglami, ubranego

w ludowy lapoński pas. Fundator chatki nie żył już od trzech lat, ale schron utrzymywał dalej jego syn. Służył znajomym i sąsiadom. Do czego, pojęcia nie mam. Chłopak, którego poznaliśmy, podjechał tam skuterem obejrzeć zachód słońca. Podarował nam paczkę drewna.

Na ostatnim bliskim wybrzeża fragmencie bardzo wiało. Bywały chwile, kiedy zamiast oznakowanym tyczkami szlakiem, pchało mnie gdzieś pod górę na zbocza i musiałam siadać, żeby się zatrzymać. Czasem wywracałam się, bo przerażała mnie prędkość, a przyhamowanie w jakikolwiek narciarski sposób było niemożliwe. Nawet narty leżące luzem potrafiły uciekać wbrew grawitacji. Góry pokrywało lodowisko, wiatr wywiał stamtąd luźny śnieg, powierzchnia błyszczała w słońcu jak zmarszczone drobnymi falami morze. Trzeba było pilnować każdej rzeczy, rękawiczek, szalików, map. Wiatr spychał ze śladu pulkę, foliowa torba z resztką cukierków, która wyrwała mi się z rąk, odleciała natychmiast za horyzont. Któregoś dnia musieliśmy schować się na chwilę w pozostawionym na jakimś jeziorze pustym wędkarskim namiocie tylko po to, żeby się napić i pooddychać. Inaczej w kubku tworzyły się fale, a herbata stygła i zamarzała wychlapana na rękaw czy tors. Namiot łopotał jak żagiel, ale wewnątrz było spokojnie i ciepło.

Pachniało wodą. Dopiero tam zauważyłam, że ten biały, pusty świat jest też zupełnie pozbawiony zapachów, może przez to tak nierealny.

Dalej znaleźliśmy jeszcze dwie chatki. Obie należały do hodowców reniferów. Towarzyszyły ciągnącym się kilometrami płotom. Renifery nie wędrują już swobodnie na wybrzeże w poszukiwaniu soli, jak miały w zwyczaju przez stulecia. Ich hodowla jest zorganizowana. Masowa. Spotkaliśmy tylko kilka dziko łążących sztuk. Snuły się po brzozowych laskach w Finlandii. Na samym początku naszej wędrówki.

Szczęście nie opuszczało nas już do końca. Jakiś człowiek zapytany o osłonięte miejsce na namiot, podrzucił nas skuterem dziesięć kilometrów, dzięki czemu udało nam się zejść na noc do Oldefjord, gdzie był i hotel, i sklep. Sto kilometrów dalej dotarliśmy ostatecznie na Przylądek Północny – prawie koniec świata. Byliśmy sami.

Zimą turyści przyjeżdżają tam tylko na dwie godziny. W południe. Samochody poruszają się w konwoju. Prowadzi pług, ostatni jedzie pilot. Konwój wraca w ten sam sposób, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Widzieliśmy to, idąc na nartach równoległe do szosy. Dwa autobusy i kilka wypełnionych ludźmi samochodów. Kiedy doszliśmy pod słynny globus, nie został tam już po nich nawet ślad. Daleko, poniżej urwiska, w niespokojnym, sączącym się spod śniegowych chmur świetle, kręcił się mały rybacki kuter.

Wcześniej, zanim tu dotarłam, Ocean Arktyczny był dla mnie czymś bezkształtnym, ciemnym i zimnym. Teraz przypominał mi jeszcze jedną niedawno poznaną

osobę. Rybaka. Przejechałam z nim długi kawał na skuterze i cała ta jazda – po wertepach, zaspach i wysokich górach była jak precyzyjnie poprowadzony taniec, do którego zostałam przypadkiem poproszona. Osobiste, intrygujące przeżycie. Niespodziewane, jak wszystko, co nas tam spotykało. Wjechaliśmy wtedy na najwyższą w okolicy górę. Prawie o zmroku. Miała tylko 550 m n.p.m., ale był z niej widok na kilkaset kilometrów. Od Lakselv i Hammerfest na południu i zachodzie do przyładka północnego i Honningsvåg. Skalisty, pofałdowany teren przykryty jeszcze niemal w całości śniegiem, otoczony przez fiordy. W wieczornym świetle różowobłękitny. Ogromny. Bardzo dziki.

Ponieważ z wyliczeń wyszło nam wtedy, że nie zdążymy już dojść pieszo na Nordkapp, Roy, który tak pięknie prowadził skuter po urwiskach, zaproponował, że wróci rano z saniami i podrzuci nas o dzień drogi na północ. Zajęło to niewiele ponad godzinę.

– Zobaczcie Nordkapp. Warto – usłyszeliśmy prze-myślane, wyważone słowa, których tu nikt nie rzuca na wiatr i tak zrobiliśmy. To, że dotarliśmy do końca, zawdzięczamy więc losowi, nie sobie. Przez cały miesiąc szliśmy przecież bez celu, zygzakami odwiedzając polecane nam przez nieznanych ludzi miejsca. Ważne dla nich. Stąd wzięły się odludne zakątki Finlandii, Kautokeino, Čárájávri i Alta, potem Stabburstden i Oldefjord i na koniec Nordkapp. Ponad pięćset kilometrów na nartach przez bezkręś. Piękny i fascynujący.

Gdziekolwiek by nie pójść, gdziekolwiek by nie popatrzeć – płaskowyż miał w sobie równowagę i spokój. Nie był interesujący. Nie był niezwykły. Nie nazwałabym go ciekawym, raczej dyskretnym. Nie zwracał na siebie uwagi, nie narzucał się. Dawał ukojenie. Równowagę. Prawdziwe piękno. Nie wiem, czy byłby taki bez ludzi. Chyba w żadnym innym miejscu nie spotkałam aż tylu pomocnych, życzliwych. To dzięki nim po długiej wędrówce przez niekończące się śniegi i walce z wichurą i mrozem w moich wspomnieniach dominuje ciepło.

Nie tego się spodziewałam. Myślałam, że ze wszystkimi przeciwnościami losu będziemy tam zupełnie sami. A nie byliśmy. Na ziemi Samów nikt nie jest całkiem sam. Ludzi jest tam tak mało, że wszyscy są dla siebie ważni. Nawet nieznajomi.







# Wiatr

## Rastigaisa

**Wędrowaliśmy wśród wyrzeźbionych przez wichury zasp, wywianych skał, po zamarzniętych jeziorach, zasypanych śladach. A Święta Góra Samów to majaczyła w tumanie, to objawiała się nam w całej krasie, naga.**

Tej nocy, kiedy dotarliśmy do Utsjoki, spłonęła informacja turystyczna. Punktualnie o dziewiątej rano stanęłam w tym samym miejscu, gdzie wieczorem zastałam odręcznie napisaną kartkę „proszę tu nie biwakować” i zgłupiałam. W środku śnieżnego pola (równie białego, jak cały otaczający mnie świat) sterczała rura – pewnie resztką piecyka. Śnieg wokół był niewytopiony, nieokopcony nawet, może świeży... Byłam rozczarowana. Zdezorientowana. Liczyłam na tę informację. Miałam mnóstwo pytań. Za Utsjoki wchodziliśmy przecież w nieznaną teren. Bez znakowanych szlaków, bez schronisk. Nie mieliśmy nawet dokładnych map.

– Idźcie cztery kilometry na południe, nad jeziorem traficie na skuterowy ślad – powiedział lekko

zakłopotany mężczyzna, który wieczorem na szosie znienacka zaoferował nam nocleg, potem (przypadkiem?) spotkał nas w sklepie i zniżył cenę tak, że namiot przestał nas kusić. Pomógł nam, wypaliśmy się bardzo wygodnie, po prostu wiedział więcej niż my. Teraz był tu, w Utsjoki, na tym śnieżnym pogorzelsku. Rozmawiał z policjantem, śmiał się. A w jego spojrzeniu, w uśmiešku pojawiało się coś, czego nie chciałam rozumieć. Chytróść to byłoby zbyt proste słowo.

Dwa dni później podobnie spojrział na nas rosomak. Nie bojąc się, nieśpiesznie zbiegł w dolinę Tany i znikł. Przekroczyliśmy rzekę trochę dalej, po śladzie jakiegoś skutera. Łód był w tym roku cienki, poprzerwany pasmami wody. Jedyna ścieżka, którą znaleźliśmy na mapach, prowadziła stamtąd pod Rastigaisę. Święta góra Samów wydawała się niepozorna, chociaż wznosiła się o 500 metrów ponad inne wzgórza. Nie chcieliśmy wcale na nią wchodzić, niepokoić jej czy zdobywać. Wykorzystaliśmy tylko ścieżkę, żeby przejść przez brzozone laski. Powinna była wyprowadzić nas na płaskowyż, gdzie, jak sądziliśmy, można iść, gdzie się tylko chce.

Pierwszy dzień był bardzo zwyczajny. Zabiwakowaliśmy w osłoniętym miejscu, wśród drzew. Ranek też był spokojny, padał śnieg. Wyżej wiało. Na Rastigaisie siedziała lodowa chmura, wędrowaliśmy wśród wyrzeźbionych przez wichury zasp, wywianych skał.

W południe usiedliśmy, żeby zjeść, ale to chyba było złe miejsce lub czas. Wiatr rósł. Śnieg ruszył,

zaczął płynąć ponad stokami, omywać skały, wirować w zaspach za głazami, wierząc tam dziury. Dotknął też mnie, szarpnął, wyrwał mi z rąk torebkę po serze i poniósł ją do podnóża góry. – José! – krzyknęłam zajęta trzymaniem termosu. – *Goodbye* – powiedział José torebce niefrasobliwie. Wiedziałam, że to błąd, że rozgniewamy tym Świętą Górę, ale było za późno. Zanim złapałam kurtkę, zanim pochowałam inne ruchome rzeczy, skrawek folii już wędrował na szczyt. Zrobiło nam się nagle bardzo zimno. Ruszyliśmy dalej, by się rozgrzać. Przełęcz z daleka wyglądała stromo. Z bliska nie wiemy. Wpadliśmy w śnieżny tuman jak w bęben prakki. Pokonanie grani zajęło nam kilka godzin, tej drogi za nic byśmy nie powtórzyli. Podejrzewam, że chodziliśmy w kółko.

O zmierzchu, nie wiem nawet jak, znaleźliśmy się po drugiej stronie na gładkim, wywianym lodzie, drapniętym co jakiś czas płożą skutera. Trzymaliśmy się tego śladu kurczowo, nic więcej nie widząc. Rysy w lodzie pojawiały się i nikły. Teren się wypłaszczył. Gdzieś niedaleko powinniśmy trafić na schron. Nie wiedzieliśmy, czy jest otwarty, ale mieliśmy nadzieję, że tak. Był moment, kiedy poczuliśmy dym. Huczało wtedy tak, że się nie dało rozmawiać, więc każde z nas oddzielnie uznało, że to złudzenie. Niemożliwe, żeby ktoś oprócz nas tu był! José wypatrzył dalszy ślad płozy i śledząc go, odeszliśmy jeszcze kilkaset metrów. Niepotrzebnie. Zmierzch gęstniał. Chmury nie rozwiewały się, wichura

wbita w przełącz wyła jak pociąg. Rozbiliśmy biwak w sztormie, w huraganie, bez żadnej osłony. Wszystko, co mieliśmy, poszło na umocowanie odciągów, a mimo to namiot miał raczej nietypowy kształt. Jeden przedzimek kompletnie zasypało nocą. Śpiwory stłoczone i przyciśnięte do ścian pozamakały. Byliśmy oblodzeni. Zamarzły przemoczone wieczorem rzeczy. Zdecydowaliśmy się wrócić, ale nocą wiatr zmienił kierunek i teraz wiał nam w twarz. Niemal się nie przesuwaliśmy. Okulary obrosły lodem. Zmieniliśmy je na zapasowe, ale wystarczyły tylko na chwilę. Słońce razilo.

Tuman pędził wprost na nas. Na moment ponad nim pojawiła się Rastigaisa. Piękna, gładka, nakryta woalką z lodu.

„Odwrót, frajerzy!” – powiedziała. „Na północ! Czyż nie taki był wasz plan?”

Odwróciliśmy się natychmiast posłusznie. Nie dało się iść pod ten wiatr. Nie po lodzie wywianym do czysta z jeziora. „Jezioro – myślałam. – Nad jeziorem miał być ten schron...”

Najpierw zobaczyłam toaletę. Potem kupkę skał, która okazała się skuterami. Wszystko to olśniewająco białe jak prześwietlona fotografia, wszystko płynne, omywane rozpędzonym śniegiem. W tej bieli drzwi.

– Mogę wejść? – zapytałam, ale człowiek w kominiarce mnie nie słyszał. W schronie był tłok. Cały patrol brytyjskich żołnierzy. Poradzili, żeby przeczekać ten dzień. Sami spakowali się i odjechali bez widoczności,

licząc na bardzo dokładny zapis z GPS-a, wracali tą samą drogą. Zostawili nam troszkę jedzenia na wypadek, gdybyśmy utknęli na dłużej, i otwartą główną część chatki. Sypialnię zamknęli na klucz.

Wieczorem wiatr osłabł, wyszliśmy przed świtem pełni nadziei. Cisza trwała może z pięć minut, jakby zamieć czekała, żeby nam towarzyszyć. Wraz z nami ruszył też wędrowny śnieg. Przez cały dzień wichura pchała nas prosto na północ. Próbowaliśmy zboczyć na wschód, ale bez rezultatu. Nic prawie nie było widać. Wiatr dusił, szamotał płaszczem, w końcu wyrwał mi z ręki mapę. Niemal słyszałam chichot Rastigaisy: „Z wiatrem, tumany! Tam, gdzie wam mówię! Po co wam ta mizerna mapa!”.

Bez mapy poczuliśmy się jeszcze bardziej bezradni. Została nam tylko ogromna 1:250 000 i GPS José, który w tych górach pokazywał wyłącznie szosę i linię brzegu, obie odległe o pięćdziesiąt kilometrów. Reszta była białą plamą. Bez jezior, bez dolin, bez nazw. To chyba wina miejsca, bo nie działały tam też telefony, nawet satelitarny aparat Brytyjczyków. Po południu teren zrobił się bardziej urzeźbiony. Pokonywaliśmy rzędy falujących wzgórz, pojawiły się doliny, kaniony. Płynęliśmy w tumanie, w śnieżycy. Zbliżając się, widzieliśmy, jak ten cały śnieg spływa w wąwozy niczym woda do spłuczki. W popołudniowym świetle był niebieski, matowy w przeciwieństwie do złotych, świecących lodem wzgórz. W pewnym momencie wydało mi się, że widzę

skuter. Ciemna plamka tańczyła i migotała tuż przed czeluścią kanionu. Biegłam w jej stronę jak szalona, ale znalazłam tam tylko kopczyk. Drugi obok wskazywał wąwóz. Nie potrafię wytłumaczyć, co znaczyły. Kazały nam skręcić, więc zrobiliśmy to. Już nie walczyliśmy z naturą. Byliśmy na to zbyt mali, zbyt nietutejsi.

W kanionach było spokojniej, ciszej, tylko niepewnie i bez widoczności. Nie wiedzieliśmy, jak są głębokie, że ścian skapywały nawisy, na dnie trafiały się bezdenne zasy, kopny śnieg, mimo to byliśmy im wdzięczni za osłonę.

Wieczorem znów się poprawiło, noc bez kłopotów. Poranek piękny, słoneczny, była widoczność. Daleko na horyzoncie malutka już Rastigaisa pokazała się nam zupełnie goła. Myślałam nawet, że nam darowała. Szybko też się rozebraliśmy. Był upał! Wydawało mi się, że wiemy, gdzie nas przyniosło – tu, gdzie mieliśmy zamiar przyjść. Pełni nadziei ruszyliśmy szukać kolejnego schronu. Nadal liczyliśmy, że odzyskamy kontakt z cywilizacją, że się gdzieś pozbieramy, wysuszymy, ale dolina o kształcie gwiazdy, którą – jak sądziliśmy – rozpoznaliśmy na mapie, otworzyła się znów na północ, nie na wschód. Pojawiły się widoki na wybrzeże (piękne!), a my, zmyleni dobrą pogodą, zamiast w kierunku szosy, ruszyliśmy z uporem na wschód, na trudne zbocze, próbując odbić w stronę zagubionego schronu.

Nie mogę powiedzieć, że góry nas nie ostrzegały. Widziałam i zlekceważyłam macki ruchomego śniegu



ruszające w ślad za nami. Na podejściu przeleciał nad nami helikopter. Pomachałam, że wszystko OK. Musiał nas widzieć. Dwie jaskrawe plamki w tej ogromnej białej przestrzeni.

Chwilę potem, minęło może kilkanaście minut, zmiotł nas z tych gór huragan. Przyleciał niespodziewanie zza naszych pleców. Zjeżdżaliśmy na oślep stromym, poprzecinanym pasmami skał stokiem, z którego już się nam nie udało wycofać. Wyglądało to paskudnie. Nie widzieliśmy, po czym ani jak szybko jedziemy, ziemię tak do łydek zasłaniał pędzący 60–80 kilometrów na godzinę śnieg. Staraliśmy się trzymać blisko siebie i nie pogubić.

Jechałam pierwsza, sprawdzając różne możliwości, wracając. Wiatr wywracał pulki. Omijaliśmy skały, płaty czystego lodu, stromizny. Szło to bardzo powoli. Biwak też był wyjątkowo trudny. Myślałam, że nie uda się wcale rozbić namiotu. Zakopane na pół metra sanki utrzymywały tropik w miejscu, ale fruwał nad nami jak parasol, nie dając się trwale uziemić. Ściana ze śniegu wysoka na metr uratowała tylko jedną stronę – zasypaliśmy fartuchy, ale reszta i tak stała dęba, osłaniając nas odrobinę. José opanował tę konstrukcję już nocą. Rzucił się, wbił rurki w śnieg, potem wszystko dokładnie zakopał. Z czasem zakotwiczył też boki (mówił, że jedyne, co mu przyszło wtedy do głowy, to „refować żagle”). Powstała psia budka, w której początkowo mogliśmy tylko siedzieć skuleni, ale potem, jak się powierciliśmy,

ubiliśmy śnieg, udało nam się nawet położyć. Zjedliśmy wtedy to, co było pod ręką – suszone mango z suszonymi buraczkami. Dobrze, że mieliśmy jeszcze wodę w termosie. Wiało przez całą noc, a przestało, kiedy wpięliśmy narty po spakowaniu naszych żalonych kłopotów.

Byliśmy w jakimś dziwnym miejscu – labiryncie wąwozów i wzgórz – w świecie reniferów. W południe zobaczyliśmy z grani fiord, po drugiej rozbiliśmy namiot i wysuszyliśmy wszystkie mokre rzeczy – w niemal całym bezwietrznej kotlinie. Na długo przed nocą, ale coś się w nas tego dnia zламаło. Nie liczyliśmy już na żaden schron. Wiedzieliśmy, że musimy sobie radzić sami. Musimy jeść, pić, suszyć rzeczy. Tu, gdzie się znaleźliśmy. Wtedy, kiedy było trzeba. Wiało przez noc i przez kolejny dzień, tak mocno, że baliśmy się jednocześnie wyjść z namiotu. Padał śnieg, mokry, ciężki, taki, który trzeba było usuwać, żeby nie zarwał, nie podarł naszych ścian. Nie przejmowaliśmy się tym. Namiot był rozbity idealnie. Przespaliśmy wicherę wygodnie, w przerwach jedząc, topiąc wodę na kolejny dzień. Po południu trochę się poprawiło, więc wdrapaliśmy się na okoliczny pagór i udało się wysłać esemes do przyjaciela. Odpisał, że się ma poprawić. Ruszyliśmy jeszcze przed świtem (wstaliśmy o trzeciej), według planu José, który wieczorem (tym jeszcze spokojnym) zdążył przejść się po okolicy na nartach i znalazł skuterowy ślad. Teraz już go oczywiście nie było, więc błędziliśmy, grzebaliśmy

się w urwistych lasach, pokonaliśmy fragment skalistego kanionu. Zeszliśmy jednak szczęśliwie tam, gdzie chcieliśmy – do dużej doliny Adamsfjorddalen, a nią ostatecznie do szosy (zimą działającej jako skuterowy szlak). Mogliśmy wtedy uciec, zejść do ludzi. Poszliśmy w górę. Do Ifjord dotarliśmy po trzech dniach, z których jeden zszedł nam na szukaniu zejścia wśród urwisk i skał. Udało nam się wprawdzie znaleźć zgubiony wcześniej szlak – a konkretnie miejsce, gdzie powinniśmy byli go spotkać, zastaliśmy tam jednak niespodziankę. Z całego ciągu zaporowych jezior, którymi co roku prowadzono drogę skuterową L8, spuszczone wodę. Dna pokrywały zwały spiętrzonych kry, a oznakowanie zastąpiły tablice ostrzegawcze: „Niebezpieczeństwo, nie wchodzić”. Być może wiatr pędzący nas uparcie na północ nie miał wcale zamiaru nas skrzywdzić, tylko wiedział, że tamtędy, na wschodzie, nie da się w tym roku przejść.

W Ifjord porzuciliśmy wcześniejszy plan i poszliśmy dalej na północ. Pięć dni później dotarliśmy na przylądek Nordkinn. W przeciwieństwie do sławnego sąsiada (Nordkapp, gdzie byliśmy w zeszłym roku) Kinnarodden jest bezludny i dziki. Nieodwiedzany, chociaż to najbardziej wysunięty na północ punkt kontynentalnej Europy. Wiatr – czy może macki Rastigaisy – nie opuścił nas już do końca. Pilnował jak policjant podejrzanego. Szturczał, popychał, nie pozwalał nigdzie posiedzieć. Nie mieliśmy wątpliwości, jak iść, bo nie

dano nam żadnego wyboru. Wiatr pozwolił nam dojść na Nordkinn, odwrócił się i dostarczył nas do drogi na skróty, ignorując szlakowe znaki. Na pożegnanie pobujał nam jeszcze promem. Zanim poznałam te góry, zanim zdarzyło mi się rozgniewać Rastigaisę, myślałam – ze strachem – o rozwiniętej niebezpiecznie technologii. O tym, co jeszcze powstrzymuje ludzkość od zajęcia, zabudowania i zniszczenia Arktyki. Komary można by przecież wytępić, domy ogrzewać, bagna osuszyć... Piękne wybrzeża mogłyby porosnąć hotele, deweloperzy sprzedawaliby tu domki... Teraz wiem, że pustkowia nie są puste bez powodu, i mam nadzieję, że chociaż tam, na północy, Natura potrafi się obronić.





# Mgła

## Ólafsfjörður

Po zmierzchu, w otoczeniu ciężkich chmur Ólafsfjörður wyglądał ponuro. Przeszłam mostem na drugą stronę fiordu, pogubiłam się w porcie, pomiędzy stelażami do suszenia dorszy. Podeszłam drogą. Asphalt skończył się przy kilku domkach. Trasa, którą wybrałam, powinna być znakowana. Byłam pewna.

Mapa rozróżniała trzy rodzaje szlaków. Widoczne w terenie (linia przerywana), niewidoczne i nieznakowane (większość) i jeden znakowany. Mój. Zastanawiałam się, czy również jest niewidoczny, ale początkowo był wręcz wydeptany. Mech przecinały ślady rowerów. Na rozwidleniu był mostek. Rozbiłam namiot przed nim, na górcie.

Spałam długo. Deszcz miał ustać dopiero w południe. Zanim przestało padać, obejrzałam jeszcze okolicę. Druga dolina, którą wiódł nieznakowany szlak, wydawała mi się łatwiejsza. Gdyby prognoza nie była taka zła, pewnie bym ją wybrała. Ale przecież tyczki, przecież mgła...

Ruszyłam koło jedenastej. Wokół mur prawie pionowych ścian. Nie umiałam sobie wyobrazić wyjścia. Na końcu lodowiec, czyli raczej nie tam. Ślady skończyły się nagle, przy brodzie. Za rzeką stała pomarańczowa tyczka. Nie widziałam drugiej, nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek tamtędy szedł. Zmieniłam buty. Woda do kolan. Za nią kamienny gruz. W prawo, w lewo. Nic. Dopiero po chwili wypatrzyłam kolejną tyczkę. Szlak wspinał się prosto do góry. Znaki były poustawiane bardzo rzadko. Nachylenie około 50 stopni, glina, złomiska, piarg. Nade mną rysował się skalisty żleb. Zanim tam doszłam, otoczyła mnie mgła. Widoczność siadła. Ja też usiadłam na chwilę pomyśleć.

Bród, gdzie zaczęłam podejście, był na wprost w dół. Widziałam go czasem, kiedy mgła się rozviała. Szlak wydawał się logiczny. Prosto w górę. Tak poszłam. Stromizna wymagała czasem użycia rąk, ale najbardziej stresująca była skała. Krucha, ruchoma. Nic się tam nie trzymało. Byle do góry. 100, 200, może 300 metrów. Na końcu śnieg. Grań czerwona, gliniasta. Druga strona opadała do kotła wypełnionego chmurą i śniegiem. Nie było zejścia. Poszłam granią. Następnny żleb również zbyt stromy, trzeci dawał pewne nadzieje. Wspinaczka, ale po skale, nie glinie. Zeszłam ostrożnie kilkanaście metrów na półkę, skąd dawało się wyrzeć. Strasznie stromo.

Spróbowałam zejść jeszcze niżej i chwyt, który wyglądał na odwieczny, został mi w dłoni. Kolejny też. Pumeks jest kruchy. Wystraszyłam się i wróciłam na



grań. Schodziłam powoli, bardzo ostrożnie, tą samą drogą. W pewnym momencie płyta, na której stanęłam, myśląc, że to solidny gład (pół metra na metr), ruszyła w dół, a ja z nią. Została mi po tym wyczynie dziura w spodniach i kilka sińców. No i strach. Zeszłam tam, gdzie poprzednio usiadłam. Mgła na chwilę odpuściła, zobaczyłam skręt. Trawers prowadził na gładką przełęcz. Już bez podejścia. Zejście strome, oznakowane aż do dna doliny. Kamieniste. Potem mleko, zero widoczności. Kilka tyczek na przeciwległym grzbiecie.

Obejrzałam się w tył. Z tej odległości szlak wydawał się niebezpiecznie stromy, a zejście z przełęczki, którą zaatakowałam wcześniej – pionowe.

Tyczki prowadziły ponad dolinką. Pewnie nie bez powodu, bo kiedy raz rozwiała się mgła, zobaczyłam rozlewiska i bagna. Neonowo zielone. Niewiele widoków, jak na kilka godzin. Zbocze po prawej opadło, pokazała się ruina domu, niżej pojawiła się ścieżka. Znikła, wypatrzyłam kolejną. Pachniało morzem. Już prawie nad oceanem po drugiej stronie rzeki, za kładką, stał biwak. Nie wiedziałam, czy będzie otwarty. Jeszcze tylko łączka pełna kwiatów, wysokich po pas, mokrych jak prysznic. Jeszcze drzwi zamknięte na kilka skobli, bardzo wysoko. Drugie drzwi, te tylko na haczyk. Otwarte! Dwa łóżka, duży stół, piec z instrukcją w kilku językach: „Nie palić, komin nie ciągnie”. Na zewnątrz plastikowa toaleta. Na sznurku ciepły wełniany sweter, w kącie wodery, na półce wędka, ściany białe, świeżo malowane.

Rozwiesiłam przemoczone rzeczy. Ociekał namiot, buty do przechodzenia rzek i te, w których przyszłam. Dobrze, że miałam neoprenowe skarpety. Spałam w kurtce puchowej, w sukience, w kilku koszulkach, w dwóch parach legginsów, w czapce.

Rano pogoda się nie zmieniła. Czułam się uwięziona. W każdej chwili, kiedy deszcz słabł, wyskakiwałam nad ocean czy nad rzekę. Za pierwszym razem w swoich butach – poważny błąd. Potem już w pożyczonych woderach włożonych na neoprenowe skarpety (wyprałam je potem bardzo dokładnie). Kalosze po biust chroniły przed mokrym gąszczem, burzą zieleni. I przed zimnem, naprawdę przejmującym. Pod wieczór deszcz osłabł aż na godzinę. Wdrapałam się na górkę i złapałam esemes od kolegi. Miało padać przez kolejny dzień.

W dole pod klifem morze wyrzuciło na brzeg jakieś cielsko. Za małe na wieloryba, za duże na martwą owcę. Próbowałam odpisać na esemesa, ale sieć znikła. Wszystko wokół znów zatoneło we mgle. Też szlak do kolejnego biwaku. Jak już zrozumiałam, zbyt trudny dla mnie, zbyt stromy na tę pogodę.

Pod wieczór odkryłam, że ocean śpiewa. Gdzieś w tle pod hukiem fal, szumem górskiej rzeczki, szelestem traw i gwizdem w kominie słyszałam muzykę. Przez małe m. Wysoki męski głos (który potem wydał mi się niskim damskim) wykrzykiwał i łomotał disco polo. – Litości! – prosiłam, ale nie umilkł. Melodia zmieniła się następnego dnia. Byłam już pogodzona z bezruchem.

Ulewa przychodziła falami, mgła nie rzedła. Ubrana we wszystko, co miałam (i wodery) wychodziłam i słuchałam. Odzywał się gregoriański chór, czasem pojedynczy głos wyśpiewywał deszcz, tak jak zawsze wyobrażałam sobie lapoński jojk. Lub nucił pieśń, jaką można usłyszeć w Gruzji. Natchnioną, ludową. Był i refren, ten sam różnie wykonany motyw. W przerwach gotowałam morza herbaty, susząc przy tym mokre ubrania (wypaliłam tak dziurę w majtkach), czytałam mapy, zostawioną w schronie książkę (po islandzku, ale z fotografiami gór), wpisy w książce gości, instrukcję użytkowania biwaku – wolno zostać tylko w wyjątkowym wypadku. Na półce znalazłam paczkę płatków owsianych. Przeteterminowanych od pięciu lat. Smakowały sianem. Znalazłam też kaszanke ważną do kwietnia (zostawiłam) i rodzynki z datą przydatności do spożycia w 1997 roku (odłożyłam ich otwarcie do ćwierćwiecza). Leżały w kufrze pełnym wełnianych swetrów. Wspaniałych. Przymierzyłam kilka. Było w nich ciepło jak w puchowej kurtce. Pachniały wełną. Były tam też rękawiczki i czapki. Ręcznie robione, oznakowane godłem klubu, zostawione tu prawdopodobnie w latach pięćdziesiątych (wtedy powstał biwak). Cudownie miękkie. Dla ewentualnych rozbitków.

Slysavarnarfélagið Landsbjörg (Life Saving Asociacion of Iceland) założyły kobiety, chcąc chronić mężów rybaków. W 1918. Organizacja rozwinęła się bardzo w latach 50. W działalność (honorową, niepłatną) było zaangażowane ponad 10 tysięcy osób.





Ostatecznie została przekształcona w ICE-SAR (Icelandic Association for Search and Rescue).

Byłam im wszystkim ogromnie wdzięczna. Za stukot deszczu, w dach – nie we mnie, za materac (wygodny tak, że mogłam leżeć przez cały dzień), za wodery, bez których byłabym więźniem. Za czyste ściany, lodowate deski podłogi – drewnianej, czyli na pewno z importu... Mając czas, wyszorowałam garnki i stół. Wywietrzyłam swetry. Zapakowałam do plecaka cudze śmieci. Trochę się martwiłam, jak stamtąd wyjść. Droga, którą już pokonałam, była za trudna. Sama myśl o powrocie wywoływała dreszcz. Trasa przez drugi biwak, jeszcze gorsza. Moja mapa sugerowała, że doliną. Z tym że to byłoby bardzo daleko. Siedziałam tak i dumiałam. Obserwowałam morze, co kilka godzin mierzyłam poziom wody – gdyby trzeba przekraczać coś przy odpływie. Patrzyłam na mierzeję dzielącą jezioro i fiord. W mdłym świetle wyglądała jak rysunek piórkem. Elegancka, zakrzywiona linia z jednym domkiem. Przecinała ją rzeka, na fotografiach w książce bardzo szeroka. Tamtędy też można by wyjść.

Mgła falowała i czasem się odrywała od morza. Zobaczyłam, jak nad wybrzeżem daleko, już za mierzeją, przesuwa się szybko biała kropka. Mam omamy? Hmm... przeleciała druga. Potem trzecia, tym razem ciemniejsza. Mewy...? Nie, one krążą. Wróciłam do map. Na najnowszej odkryłam, że dolinę przecina drogowy tunel. Nad jeziorem fragment szosy wyprowadzono na

powierzchnię. Niedawno, tylko kilka kilometrów stąd.  
Niby dobra wiadomość, a mnie zmartwiła.





# Chmury

## Trialeti

**W murze monasteru jest bramka. Ścieżka ginie w lesie za rzeczka. Idę tam, myśląc, że znalazłam szlak, ale trafiam tylko na kapliczkę. Przed wejściem stolik, chleb i kawałki sera, brudny nóż – jakby zaproszenie, żeby się częstować. Wewnątrz butelki z winem, może oliwą. Jeszcze więcej płaskich gruzińskich chlebów i kolejka. Staję na końcu.**

Ludzie w ciszy modlą się przed obrazem. W kącie stary, bardzo szczupły mnich wysłuchuje wyszeptanych szczegółów, skupia się i odkaśluje zło. Leczy. Co jakiś czas ciszę przerywa dzwonek. Ekran smartfonu rozjaśnia siwą brodę, głos jest stanowczy i niechętny: – Nie teraz. Nie umiem sobie przypomnieć, jak są po rosyjsku stawy, nie wiem, jak powiedzieć o boreliozie. Kiedy przychodzi moja kolej, pokazuję tylko kolana i łokcie. Mnich patrzy krytycznie (taki bzdet?), ale skupia się i odkaśluje zło. Wstaje, skubie coś ze sterty jedzenia i wyciąga się wygodnie na hamaku.

– Z Polski, w góry, katoliczka – odpowiadam, zarzucając plecak.

Hamak buja się wśród wielkich drzew. Ścieżka doprowadza mnie znów do szosy.

Zagrzmiało. Wypiłam piwo w wiejskim sklepiku i upał zamiast zelżeć, wylał się na mnie jak wrzątek. Drży gorące powietrze, odsuwam się, robiąc miejsce furgonetce. Samochód staje daleko. Mężczyźni w mundurach odsuwają broń, żebym mogła się wcisnąć do środka.

– Masz szczęście, inaczej szłabyś jeszcze dwadzieścia kilometrów.

Bujamy się na wertepach. Asfaltowa szosa jest już wspomnieniem i nie jestem pewna mojego szczęścia. Próbuję wytłumaczyć, gdzie jadę. Jeszcze trudniej wyjaśnić, po co.

– Rozumiem, że masz namiot – przerywa w końcu kierowca – ale czy masz też pistolet? Tu wszędzie niedźwiedzie i wilki.

– Nie wierzę w dzikie zwierzęta. Nie od razu. Przecież jestem w Gruzji już od dwóch tygodni. Przyszłam górami, lasem z Borjomi do Bakuriani, Tabatskuri, Achalkalaki, Vardzia... Byłam z mężem, sypialiśmy w namiocie co noc. Nic nas nie niepokoiło.

– Uwierz nam. To kompletna dzicz, znamy nasz rewir, w Borjomi były pożary, zwierzęta się wystraszyły, przyszły tu – umięśniony mężczyzna obsuwa się na mnie na zakrętach. Kiedyś oficer rosyjskich sił specjalnych,

judoka, który był w Polsce na zawodach, absolwent politechniki. Teraz strażnik z pensją 150 euro.

– Przyjechałem, kiedy Gruzja odzyskała niepodległość. Żona, Rosjanka, nie chciała. Córka odwiedza mnie raz do roku. Wyszła za Rosjanina, wnuki są Rosjanami.

Kiedy o tym mówi, odwraca głowę. Nie mam odwagi spytać o syna. Siadamy pod leśną wiatą, niedaleko źródła mineralnej wody. Gio ma ze sobą skrzynkę z jedzeniem, baniaczek wina. Domowa kura, ser.

– Dziękuję Bogu, że mnie uczynił Gruzinem, tu jak ktoś ma choćby kawałek chleba, odda drugiemu, nawet jak żona, dzieci nie mają, odda, podzieli się.

Za naszymi plecami jakiś człowiek nabiera do butelek wodę. Lekko gazowana, słonawa, wypływa wprost z ziemi i zmywa do rzeki błoto.

– Co to za kraj, gdzie takie miejsca są niezagospodarowane! Woda lepsza niż to całe słynne Borjomi, mogliby tu ludzie przyjeżdżać, turyści...

„Za małe źródło, za daleko od szosy” – myślę i nie odzywam się. Chciałabym już pójść, ale nie wiem, jak. Zwiedzamy klasztor. Strażnicy wiozą mnie do znajomych. Gio obiecuje wrócić i przeprowadzić mnie bezpiecznie górami.

–Jutro – zapewnia – przygotuję się, wezmę dobre buty.

Nie spotykamy się już. Znajomy Gio (przysięgam, że to dobry chrześcijanin) pakuje się do pokoju, gdzie mam spać. Niby kładzie się na sąsiednim łóżku, ale

tak naprawdę cały czas chodzi. Nie zmrużam oka, nad ranem zastaję go z łapami na moim kocu. Nie jestem uprzejma, więc znika. I ja też znikam, nie opowiadając o tej historii jego ojcu.

Gio spóźnia się, nie czekam. Idę lasem, drogą, którą zalała rzeczka, czasem brzegiem, czasem bez butów w bród. Idę w paprociach, w deszczu, przez kilka godzin. Niewiele widzę, przemakam. Marznę. Udaje mi się wyjść ponad las. Trafiam na monastyr. Abukhało, wiem, bo zapamiętałam z mapy.

– Mogę się tu na chwilę schować? – mnich dłubiący coś w mroku stodoły kiwa głową, potem zaprasza do kuchni. Dziwię się, nie wiedziałam, że można, ale cieszę się, bo jest ciepło.

– Katolicyzm to sekta, wróć do prawdziwej wiary, u nas nie ma pedofilii, nie ma afer. Mieszkamy tu we czterech, uprawiamy ziemię, jemy warzywa, to, co wyhodowaliśmy, nie jemy mięsa.

Spod sutanny wystają dziurawe buty. Najmłodszy mnich patrzy na mnie wilkiem.

– Nie masz spódnicy.

No nie mam, do tej pory zastępował mi ją płaszcz, teraz przemoczony. Panowie zapraszają na obiad, jem sama, potem siadam przy ogniu, oni jedzą. Taki zwyczaj. Moje pytanie o drogę wywołuje burzę. Jak można tak ryzykować! Obrażasz Boga, życie to dar! Odwieziemy cię na dół. Tu wilki, niedźwiedzie, nie ma ludzi, woda zalała drogę... Jakbym nie wiedziała, przecież szłam.

Zjazd ziłem zajmuje chyba tyle samo czasu, co podejście. Pojazd buja się w koleinach, ślizga po granicy urwiska. Las ciemnieje, przebiega nam drogę wilk.

– Nie mogliśmy cię przenocować – tłumaczy kierowca. – Reguła zabrania, zawiozę cię do sióstr – obiecuje, ale mniszki mają mnie gdzieś. Opatulone czarnymi sukniami wyglądają jak kukły w burkach. Nocuję u jakiejś kobiety. Odjeżdżam autobusem. Zwiedzam Gori.

– Nie masz pieniędzy? – przypomina mi się jeden z mnichów. – Jak nie masz, to ja ci dam...

Dolina Ateni (następna na wschód) nęci mapą. Informacja w Gori rozdaje zgrabne mapy pięćdziesiątki. Namalowano na nich kilka szlaków, ale nie widzę znaków w terenie. Idę, zwiedzam, zabiera mnie jakiś samochód.

– Tu żyją tylko starzy ludzie. Był jeden młody, ale zmarł, jadę na pogrzeb.

– Co się stało?

– Dużo pił.

Na końcu doliny leży ostatnia wieś. Wiem, tam już nie mieszkają chrześcijanie. Wiem, bo każdy ostrzegął. Do znudzenia. Gdybym się nie poddała w Abukhalo, doszłabym tutaj górami, drogą co to podobno zarosła. To najwyżej dziesięć kilometrów. Levitana jest biedna. Zabudowa gęsta i licha, błoto, przy domach nie ma roślin, ogrodów. Na mój widok robi się zbiegowisko. Nikt nie mówi po rosyjsku, moje pytania wywołują salwy śmiechu, więc też się śmieję.







Nocuję przy najładniejszym domu, na trawce już za wsią. Mieszkańcy Levitany są z Azerbejdżanu. Rozmawiamy na migi, zapraszają do siebie, ale upieram się przy namiocie. Jem z nimi kolację, jak wszędzie – ziemniaki i ser, piję kawę, jem konfiturę z melona. Próbuję wytłumaczyć, gdzie idę. W tle leci telenowela po turecku.

– Tą drogą na prawo – mówi mi rano starszy pan, głowa rodziny (wieczorem milczał i nie wiedziałam, że zna rosyjski). – To daleko, pewnie zajmie ze trzy dni. Wilki, niedźwiedzie...

– Wiem, dziękuję, będę uważać – obiecuję sama nie wiem co.

Droga solidna, gruntowa. Skalisty kanion, potem łąki, kawał przez las. Na zakręcie przebiega szakał, zbyt szybki, żeby dać się sfotografować. Na halach znikają ślady samochodów. Porozmywały się, pozarastały trawą. Płaty śniegu. Prymulki, rododendrony w pąkach. Wietrznie, spokojnie i pięknie. Bardzo zimno. Po horyzont rzędy falujących wzgórz. Na mapie, na samej krawędzi mapy zaznaczono dwa pasterskie schrony. Jeden minęłam, było za wcześnie. Potem żałowałam, bo dopadła mnie lodowata ulewa, grad. Kiedy znów wyszło słońce, ziemia parowała. Lśniły dywany kwiatów. Prymulek – głównie żółtych, ale były i różowe, i białe, szachownic kostkowatych (nigdy wcześniej nie widziałam żółtych) i psizębów – tu lśniąco niebieskich. Były też łąny szafirków, kiełki goryczek, liście tulipanów. Nie



szłam już wtedy drogą, ale wiedziałam, gdzie jestem. Mapa była dokładna, widoczność niezła. Chmury i zieleń gór wyglądały jak malowane akwarelą. Delikatne, wyblakłe, szybkozmienne. To dla nich tu przyszłam. Zachwyciły mnie, kiedy je zobaczyliśmy z mężem pierwszy raz. Zawróciły w głowie i zmusiły, żeby tu wrócić. Teraz je widzę.

Aż do popołudnia idę graniami. Mapa kończy się. Krowia ścieżka opada do pasterskiego szałas, który w rzeczywistości jest letnią wsią. Szopy z desek, toalety z kołków i plandek, połamane plastikowe butelki, omszałe pampersy. Tymczasowe poprzecyłane domki, otwarte na oścież. Wybieram najsolidniejszy.

Zrywa się wiatr. Ulewa, oberwanie chmury. Rzeka zmienia się w potoki błota. Stoki w rzeki. Łapię deszczówkę spływającą z dachu. Gotuję kolejną herbatę. Patrę na kłęby chmur. Na złożone filiżanki zostawione tu przez pasterzy. W ciemność.

Padło przez całą noc. Wyszłam we mgle, już bez mapy. Drogą, bo pewnie prowadzi do ludzi. Wielokrotnie przekraczała rzekę, po deszczowej nocy nie do przejścia, więc skręciłam w łąki, na przełęcz. Mgła rozwiała się. Pojawiły się zielone grzbiety. Po horyzont kwitnące łąki. Mokro, perliście. Pięknie.

Kilka kilometrów dalej przeszłam bród. Kiedy wkładałam buty, przypadkiem spojrzałam w tył. Na zboczu był stary cmentarz. Dziesiątki rzeźbionych kamiennych grobów w trawach. Nie podeszłam, bo były za rzeką,

i tak nie odczytałabym napisów. Ormiański, gruziński, osetyński, turecki – każdy język ma tu swój alfabet. Historię, której nie znam. Nie rozumiem. Czy gdyby nas kiedyś nie połączyła łacina, możliwa byłaby zjednoczona Europa? Myślę. Patrzę. Teraz widzę też ruiny domów (wielkich, pewnie piętrowych), fundamenty wrosnięte w kwiaty, w grunt. Poza nimi totalna dzicz. I samotna kwitnąca śliwka nad rzeką. Jest też ślad. Kilka godzin wcześniej, pewnie o świcie szedł tędy niedźwiedź. Drogą, w tę samą stronę, co ja. Odciski łap towarzyszą mi przez kilka godzin. Miś minął ruinę cerkwi. Rzeźbione kamienne bloki rozrzucone w morzu tulipanów jak klocki. Na niektórych odnajduję daty – lata dwudzieste dwudziestego wieku. 100 lat. Poza tym tylko bezkres kwiatów, przecięty zeszłorocznym śladem kół. Mżawka.

Ruina leży nad kanionem rzeki Ktsia. Zastanawiam się, czy dałoby się nim zejść, ale myślę, że pewnie nie, że stromo. Niedźwiedź był tego samego zdania. Opuszczam jego ślad na przełęczy. Zmęczona myślami, co robi i gdzie się skrył za dnia. Na horyzoncie, na skraju deszczowej chmury widzę pasterski domek – cywilizację. Nie idę tam. Tak długo, jak tylko się da, trzymam się grani. Góry falują razem z chmurami. Deszcz spływa mi za dekol. Pluszcze w butach. Grań opada. Natykam się na stado krów, widzę pasterzy.

Niżej za ciągiem zalanych łąk przez rzekę przerzucano deskę. Wiotką, ale daje się przejść. Droga prowadzi

do Khando. Biegnę do kościółka z nadzieją, że może uda mi się tam schronić, ale jest zamknięty. W kolejnej wsi deszcz zmywa kupy gnoju, grzęznę w błocie.

– Jest tu jakiś sklep? – pytam mężczyznę w zaparowanym samochodzie.

– Wsiadaj, podwiozę.

Wsiadam. Przesiadam się. Taka jest Gruzja. Już nie muszę się o siebie troszczyć. Ląduję u szwagierki znajomego (nieznajomego) w Avranio.

Zapada zmrok. Przy rozpalonej kozie siedzi babcia z dziewczynką. Mała się boi. Babcia robi miejsce na moje rzeczy. Dom jest wielki, pusty i zimny. Mieszkają tu cztery piękne kobiety. Greczynki. W całej okolicy przeważają Grecy, przez zawirowania historii tureckojęzyczni. Wielu wyjechało w ostatnich latach, wyczuwając niechęć Gruzinów.

– Lubię, jak pada – mówi babcia. – Tu jak zaczniesz, to nie przestanie przez tydzień, dziesięć dni. Nie mogę wrócić do siebie, na Cypr. Mąż zmarł. Nie chcę być sama, tu chociaż pomogę Idzie.

Nie od razu rozumiem, że Ida to wnuczka, prawniczka bez pracy, matka dziewczynki. Razem z mamą gospodarują na trzech hektarach. Koszą łąki, doją krowy. Ojciec, Gruzin, policjant zmarł na białaczkę, nie miał ubezpieczenia, nikt go tu nie ma. Szpital kosztował majątek.

– Tylko domu nie sprzedałyśmy, nie pozwolił... Przed tobą była tu już para Francuzów. Przyszli z Ateny, tak

jak ty. Powiedzieli, że dlatego, że jest mapa. Też u nas nocowali, on skręcił nogę. Pojechali potem do Tbilisi.

Mama Idy przerabia wieczorny udój na ser. Z mleka od jednej krowy powstaje krąg – odcisk z durszlaka. Łąduje w solance, potem może leżeć nawet rok. Słucham. Słucham przez cały wieczór, wszystkiego. Jem kartofle (tak tanie, że nie warto sprzedawać), jem ser. Zasypiam w pokoju Idy.

Odjeżdżam autobusem, o ósmej rano. Kierowca nie bierze ode mnie ani grosza.

– Jesteś gościem – mówi, a mi jest głupio.

Rezerwat Algeti zaznaczono na ulotce na zielono. Według mapy powinny być tu szlaki. Kuszają mnie. Wsiadam, autobus odjeżdża do Tbilisi.

– Po co tak chodzisz? – pyta kobieta w czarnej chustce. – Jak umrzesz, dusza wszystko zobaczy.

Nie umiem wyjaśnić. Kobieta ciągnie sznur. Biją cerkiewne dzwony. Wokół domy, kiedyś okazałe, ociekające bzy, łąki. Błoto. I wilki. Podobno dwa lata temu zjadły parę Niemców idącą górami z Tsalki. Nocą, kiedy spali w namiocie. Ekspedientka w sklepie spożywczym robi mi kawę.

– Tylko noga została – mówi.

– Tylko noga – potakują kobiety w kolejce.

W katedrze odprawia się nabożeństwo, więc nie wchodzę, żeby nie przeszkadzać. Czytam tablicę informacyjną z mapą. Widzę szlaki. Podchodzi chłopak, mówi po angielsku.

– Nie przejmuj się nabożeństwem, wejdź do katedry, pada deszcz.

Podchodzę i nieznajomy zaprasza mnie na wesele. Tak po prostu.

– Widziałem, jak szłaś, nie chciałem, żeby cię zjadły wilki – słyszę wyjaśnienie już przy stole.

– Niedźwiedzie to nic, są wegetarianami, ale wilki to problem, wiosną są głodne...

Poddam się. Jadę do miasta, zwiedzam, potem znów próbuję w David Gareža i znów słyszę tę samą pieśń. Chodzę za dnia, nocami staram się być blisko ludzi – o to w Gruzji nietrudno, sami proszą. Śpię w mieszkaniu projektanta cerkiewnych ogrodów, śpię przy monastyrze i przy pasterzach.

Nie mogę się nadziwić, że tylko trzy tygodnie wcześniej wysiedliśmy z mężem z marszrutki i ruszyliśmy przez lasy, przez dzicz. Z nikim nie rozmawialiśmy, nikogo nie pytaliśmy o drogę, przez 10 dni pokonaliśmy puszcę Borjomi i Bakuriani, i pagórki Trialeckich gór. Zmarzliśmy tam, zmokliśmy, mężowi rozpadł się but. Przez to zamiast iść na trzytysięczniki oddzielające nas od jeziora Paravani i Tsalki, ruszyliśmy wzdłuż Tabatskuri. Labirynt wulkanicznych wzgórz, budzących się do życia po zimie. Niezrozumiały, zawiły bez walnych dolin i głównych grani. Pokręcony. Był koniec kwietnia, dużo śniegu, błoto i rozlane rzeki. Na bukach otwierały się pąki, pasterze nie wyszli jeszcze na hale. Byliśmy sami. Zielone wzgórza, pofalowane jak aksamit,

pełne kwiatów. Niepodobne do niczego co widziałam. Piękne.

Dopiero po powrocie przetłumaczyłam gruzińską nazwę. Trialeti – znaczy „miejsce do wędrowania”. Dla mnie – idealne. Dla ludów, których wędrowki trwają tu od tysięcy lat – cichy współnik, lub może tylko niemy świadek? Większość obecnych mieszkańców to Ormianie i Grecy, przesiedleni z Anatolii po Rzezi w 1915 roku. W referendum z 1991 roku opowiedzieli się za niepodległą Gruzją. Są też współcześni migranci z Azerbejdżanu, potomkowie wygnanych przez Stalina Turków. Powracają na mocy narzuconej przez Radę Europy ustawy pomiędzy ofiary Imperium Osmańskiego. Galimatias nie do rozplątania, niepewność, nietrwałość i łącząca wszystkie narody bieda. Chleb i ser, którym każdy tu dzieli się z obcym. Spokój, docierający do kości jak mróz.

Gruzini umiejscawiają biblijny raj w Swanetii, ja myślę, że może był tutaj. I cudem przetrwał.







# Urwiska

## Breheimen

**Godzinami wydeptywałyśmy kolejne prawdopodobne ścieżki, natykając się znów na urwisko. Brak szczegółów, wszystko przecież białe na białym. Jedynym kolorem, jaki czasem widziałyśmy w tym mleku był błękit nadtopionego lodu. Trochę się go bałyśmy.**

Była nauczycielką angielskiego, norweskiego i religii (każdej, jakiej wymagali uczniowie). Wiozła nas stopem i opowiadała o homogenizacji świata. Za oknem zieleń, skały, samotne farmy, a my – o zanikaniu odrębności. O mediach społecznościowych, o internecie, przez który (czy tylko używając którego) współczesne dzieci dopasowują się i na siebie wpływają w tempie nieznanym w historii. W ich świecie nie ma wyboru. My, a przed nami mieszkańcy odizolowanych gospodarstw byliśmy sobą. Każdy dziwaczny na swój własny sposób, świadomy istnienia innych dziwaków. I co teraz, jak to nas zmieni?

Wysiadłyśmy, nie kończąc rozmowy. W gęstym lesie, którego drzewa nie przypominały rosnących samotnie.

Wysokie, prawie jednakowe. Wydawało się, że razem mają niezłomną moc. Rozbiłyśmy wśród nich namiot na noc.

To lato było wyjątkowo zimne. Najzimniejsze od pięćdziesięciu lat. Prawie sierpień, a śniegu więcej niż w czerwcu. Góry białe, jeziora pozamarzane. Potoki webrały, grunt namiękł. Otwierały się dopiero bazy wierzb.

Wyszłyśmy z Turtagrø. Za zamarzną przełęczą trafiłyśmy na zziąjanego faceta. Odradził nam bardzo strome zejście i zaprosił do chatki. Posłuchałyśmy i poszłyśmy okrężną drogą. Powoli, bo blisko.

Niekończący się letni zmierzch. Czyste niebo i podstępne norweskie komary. Płyn na owady nie robił na nich wrażenia.

Na szczęście chatka była otwarta, komfortowa. Odespałyśmy podróżne zmęczenie i wyruszyłyśmy wcześniej. Pogoda nadal była piękna. Szlak widoczny i oznakowany, śnieg niekłopotliwy. Musiało go być ponad metr, co było widać po ledwo widocznych znakach.

Zaskoczył nas kawał stromego lodu. Obeszłyśmy go skalnym balkonem, nie wszędzie łatwym. Z kolejnego, kończącego się łagodnie zjechałyśmy na czterech literach, Lidce przemokły spodnie. Za sobą widziałyśmy Jotunheimen, przed nami wielką śnieżną kupę (Liaflui 1768 m n.p.m.). Niemal się nie przybliżała, a wystawiony na słońce śnieg miękł. Niewinne początkowo chmurki gromadzące się nad Jotunheimen szcerniały i utyły.

Wiatr pchał je prosto w nas. Zdążyliśmy jeszcze popatrzeć na firanki deszczu przesuwające się nad pasiastym od śniegowych płatów Sognefjellet i ruszyliśmy w dół. Od szczytowych, wystających spod lodowca skałek prowadził nas bardzo świeży ślad. Dosłownie chwilę przed nami Liaflui zdobyły jakieś dwie osoby. Chyba też się śpieszyły. Dzięki wybitym przez nie dziurom zejście poszło szybciej niż się spodziewaliśmy. Śnieg był głęboki i miękki. Szlak kluczył w dzikim, skalisto-lodowym krajobrazie, obchodząc zasypany prawie dwumetrowym kozuchem lodowiec. W butach chlupało. Już mijając jezioro – wmarznięte w blok błękitnego lodu – zastanawialiśmy się, gdzie zabiwakować. Zeszliśmy do płatów gołej gleby. Padał deszcz, widoczna z góry dolina wyglądała na wyjątkowo mokra.

Nocą lało. Do Nørdstedalseter według mapy były niecałe cztery kilometry, ale zejście zajęło nam prawie dwie godziny przez teren podmokły i grząski, pełen płatów nadtopionego śniegu i porozlewanych szeroko rzek. Posiedzieliśmy tam pod dachem z godzinę. Lidka próbowała zamówić coś do jedzenia, ale aż do wieczora serwowano tylko słodkie gofry, więc wyszliśmy z maszynką na wiatr. Namiot wysechł, my zjadliśmy, lampka w ładowarce zmieniła kolor. Znów ubrane we wszystkie warstwy wyruszyliśmy doliną wzdłuż pięknie błękitnego stawu w firankach deszczu. Po lewej zostało urwiste zejście z Arentzbu. Znane mi, teraz niedostępne. Miałam nadzieję, że nie trafimy na podobne stromizny.





Trasa była niepopularna, bo długa. Mapa pokazywała czterdzieści kilometrów, a po drodze tylko jedno schronisko. Zamknięte. Nie wybrałyśmy przejścia przez Middalen, bo wydało nam się nieciekawe – dnem doliny wiała się droga. Skażony asfaltem krajobraz nie był dziki, a my szukałyśmy niezniszczonych przez ludzi miejsc. Przedzierałyśmy się więc przez mokre krzaki z mętym widokiem na skraj lodowca. Po południu rozbiłyśmy namiot na kamienistej łączce jakąś godzinę przed Ilvatnet. Nie chciało nam się już dłużej iść, chociaż być może wyżej, bliżej progu doliny byłoby mniej wietrznie. Wiatr wiał jak oszalały, nad szczytami przelewały się chmury. Wokół tylko porosty i mchy. Płaty śniegu i pozamarzane stawy, nad tym daleki, ale dobrze widoczny jezior lodowca – Breheimen.

Ranek we mgle. Chmura, która utknęła w naszej dolinie okazała się pięknym barankiem, trochę zbyt bliskim. Suchym. Niegroźnym. W południe dopadł nas upał. Silne słońce zawsze oznacza miękki śnieg, nasza radość była więc bardzo krótka. Nad jeziorem zeszyliśmy ze znakowanej ścieżki i wybrałyśmy – narysowany na mapie kropeczkami – nieznakowany szlak. Tak nam się w każdym razie wydawało. W rzeczywistości zgubiłyśmy pierwszy fragment i odnalazłyśmy kopczyki na piętrze doliny. Potem gubiłyśmy je wielokrotnie. Były małe, stare, często pod śniegiem. Mijając kolejne zamarznęte jezioro, odkryłyśmy na jednym ze znaków fragment czerwonej literki T. Szlak musiał być kiedyś